NUMER 3. DNIA 17. STYCZNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MARJA KONOPNICKA.

MÓJ ZEGAREK.

(Dokończenie.)

Co do ojca, ten stale nosił bródkę w klin i podśpiewywał piosenki francuskie.

Na matkę wszakże przestał wołać „Ma Biche“, a i nas nie klepał po ramieniu, mrugając jednem okiem.

Rzadko teraz bywał w domu. Właściwie, od czasu jak przybył cyrk, w którym uczone panny jeździły na uczonych koniach, nie widywaliśmy go wieczorami prawie. Okazało się bowiem, że jest nadzwyczajnym miłośnikiem — koni.

Jeśli się zaś i trafiło kiedy, że był w domu, zaraz go bolała głowa i spał na kanapie w ubraniu. Dopiero około północy bywało mu lepiej i wtedy wychodził przez nasz pokój, żeby nie przeszkadzać matce.

Mnie wszakże to długie, całotygodniowe niewidywanie zegarka wprawiało w jakiś stan roztargnienia i drażniącego niepokoju, który był nieznośny.

Jeszcze poniedziałek, wtorek, środa nawet, dawały się jako tako przeżyć. Ale już czwartek był nie do wytrzymania. Poprostu niepodobna mi było usiedzieć przy jakiemkolwiek zajęciu, gdym czuł, że zegarek jest tam, w tem czarnem pudełku, a ja go nie widzę.

Tedy dla ulżenia sobie zaczynałem krążyć około szafki, w której był schowany, albo stawałem przy niej, nasłuchując, czy nie doleci mnie jego szept mistyczny.

Jakoż — dolatywał.

Później dopiero, znacznie później, dowiedziałem się, że to było drżenie mojego serca. Zegarek bowiem, nienakręcany od niedzieli do niedzieli, leżał bez życia, bez głosu.

W niedzielę za to, jaka szalona i gwałtowna, chociaż krótka radość!

Dusza omdlewała we mnie, gdym słyszał suchy trzask otwierającego się pudełka. Poczem nagle zapalały się w ręku matki wszystkie gwiazdy nieba, zakwitały wszystkie lazury, a ja bez tchu patrzyłem z wyciągniętą szyją, mając pierś pełną cichej, gorącej jasności, gdy tymczasem tajemnicze dźwięki owej czarownej pieśni wybuchały w każdym moim pulsie.

Te wszakże stany ekstazy i następującego po nich wyczerpania, te natężone pragnienia i długie niezaspokojone tęsknoty źle wpływały na mnie. Stałem się roztargniony, posępny, niecierpliwy i zamknięty w sobie. Żyłem paroksyzmami szczęścia i oczekiwaniem na nie, co się fatalnie odbiło na mojej cenzurze.

Najgorszem jednak było to, że gdym cokolwiek zbroił lub złe przyniósł stopnie, matka, zamiast mi dać po uszach, jak bywało dawniej, kiwała tylko głową i mówiła złowróżącym głosem:

— Oho, przepadło! Już zegarek nie twój.

Jaka rozpacz ogarniała mnie wtedy, jakie głębokie łkania wstrząsały moją wątłą piersią, jaki krzyk protestu miałem w duszy, ilem łez gorzkich i palących przelał!

Dopiero, kiedym kilka dni takich i nocy przebolał w niewypowiedzianej męce, kiedym zmizerniał, stracił sen, apetyt, a w oczach nosiłem zabijający mnie smutek, a kto ze znajomych zauważył, żem jakiś marny, wtedy dopiero matka mówiła:

— No, zegarek twój, ale pamiętaj...

Bóg widzi, jak pamiętać chciałem. Mimo to jednak, co jakiś czas zegarek przestawał być moim, a za nim ta śmiertelna klątwa znów ze mnie była zdjęta, we łzach moich mógł się on cały, z łańcuszkiem razem, zanurzyć.

Najdotkliwszem zaś w mej rozpaczy było to, żem go utracał, nie posiadłszy w pełni.

Ciągle bowiem jeszcze nie byłem starszy, i ciągle nie mogłem do rąk dostać tak kosztownej rzeczy.

Życie moje chwiało się teraz między dwiema alternatywami, które się luzowały z dziwną punktualnością:

Zegarek był „mój“, lub też zegarek był „nie mój“.

Tak szarpany między nadzieją odzyskania a obawą utracenia szczęścia, budziłem się nieraz przerażony wśród nocy, nie wiedząc tak nagle ze snu czy zegarek jest teraz mój, czy też niemój.

Spojrzenie moje było błędne, włosy zjeżone, zimny pot rosił mi czoło, a serce waliło, jak młotem. Po dłuższej dopiero chwili, oprzytomniawszy z przerażenia tego, przypomniałem sobie, że zegarek jest teraz mój, a wtedy na wynędzniałej mojej twarzy pojawiał się błogi uśmiech szczęścia, i opadałem na pościel z uczuciem bezgranicznego ukojenia, tak właśnie, jak rozbitek, który już zgubionym się widział, a oto jest uratowany.

Niekiedy, w czasie obiadu (a bywał on coraz i gorszy i krótszy), nagle, niosąc łyżkę do ust, przypomniałem sobie, że zegarek nie mój.

Wtedy wargi zaczynały mi się trząść, łyżka w ręku drżała i, zanim ją do ust doniosłem, pełniejszą była o dwie słone i gorące krople.

Jakoś w tym czasie ojciec znów wyjechał.

Kilka wieczorów przedtem bolała go głowa, w cyrku nawet nie bywał, gdyż uczone konie także wyjechały. Ale matka bardzo się tem zgryzła i mocno płakała. Jakoż nie mogła ojcu na drogę upakować kufra, ani usmażyć rozbratla, gdyż ojciec, nie chcąc jej przeszkadzać, wyszedł przez nasz pokój sam w nocy na kolej, wziąwszy tylko swą podróżną torbę.

Przez jaki miesiąc potem, zegarek był ciągle mój. Nie dlatego, żebym się lepiej sprawował, ale matka tak była rozgniewana czegoś, i taka zmartwiona, że gdym przeskrobał, dostawałem odrazu na gorąco, w kark, a o zegarku nie było zgoła mowy. Kipiałem tedy cały szczęśliwością wewnętrzną, czekając niedzieli.

Aż przyszła taka jedna niedziela, że matka pudełka nie wyjęła z szafki.

Czekałem ranek cały — nic. Tedy po obiedzie, któregom przełknąć nie mógł z niepokoju, podszedłem do matki. Siedziała nachmurzona, podparłszy głowę.

Pierwszy raz zauważyłem, jak bardzo postarzała i pożółkła w tych ostatnich czasach. Że zaś to postarzenie uczyniło twarz jej bardziej jeszcze twardą i surową, onieśmielony patrzyłem na nią w milczeniu, nie wiedząc, jak się odezwać.

Spostrzegła mnie wreszcie:

— Czego stoisz? Zjadłeś obiad, to idź do książki i ucz się.

Zebrałem całą odwagę:

— A zegarek? Dziś niedziela....

Matka odwróciła głowę i rzekła ostrym głosem:

— Niema zegarka. Zastawiony. Jak będą pieniądze, to go się wykupi.

Oniemiałem, ogłuchłem i patrzyłem przerażony na matkę.

...Nie... Niema ze....?

Piorun uderzył mi w duszę i zabił wszystko, co w niej było życiem i nadzieją.

Czerwone błyskawice latały mi w oczach, kreśląc jakiemiś okropnymi zygzakami:

— Niema zegarka... Zastawiony... Niema zegarka... Zastawiony...

Dziś wiem, że tak właśnie wyglądały wyrazy: *Mane. Tekel. Fares.*

Tymczasem matka podniosła się z jakimś stłumionym jękiem i wyszła z pokoju.

Zostałem sam.

Natychmiast obudziła się we mnie przedsiębiorczość, instynkt ratowania się i odporna siła.

Jakoż tego dnia jeszcze powziąłem u stróża ważne wiadomości.

Dowiedziałem się mianowicie, co znaczy: „zastawiony“, a nadto gdzie jest i jak się zowie miejsce, w którem mój zegarek przebywa.

Nazajutrz poszedłem tam, zamiast iść do szkoły.

Był to duży, żółty dom w ustronnej ulicy. Ponieważ drzwi były uchylone, wsunąłem się i obracając czapkę w ręku, z bijącem mocno sercem stałem przy nich. Pokój był prawie pusty. Jakiś pan spojrzał na mnie od biurka przy oknie i zapytał:

— A czego to?

Ukłoniłem się, zmieszany niewymownie.

— Nic, proszę pana, tylko tu jest mój zegarek...

Pan wyciągnął rękę.

— Kwit.

Nie miałem kwitu.

— Bez kwitu się nie wydaje.

Ukłoniłem się raz jeszcze i wyszedłem do sieni, a że nikogo nie było, przytuliłem się do drzwi i słuchałem.

Byłem pewny, tak jest, zupełnie byłem pewny, że przez te drzwi zamknięte przenika do mnie szept mego zegarka. Trząsłem się ze wzruszenia aż do szpiku kości, a łzy, jak grad, leciały mi po twarzy.

We wtorek wracałem ze szkoły z ogromną pałą z łaciny i z boską nadzieją w duszy, że znów drogi ten szept usłyszę. Jakoż zaraz po obiedzie pobiegłem do biura i lekko nacisnąwszy klamkę, znalazłem się we drzwiach. Pan, który był w tej chwili przyszedł, poskładał papiery, obejrzał pod światło pióro, usiadł i wyciągnął rękę:

— Kwit!

Ognie buchnęły na mnie.

— Ja tylko, proszę pana, tak...

Lecz pan trzymał wyciągniętą rękę:

— Kwit! — powtórzył.

Nie miałem, rzecz prosta, kwitu.

Wtedy pan zniecierpliwił się i rzekł:

— Cóż u licha! Powiedziałem, że się bez kwitu fantów nie wydaje.

— Kiedy to nie fant, proszę pana, tylko mój zegarek...

Popatrzył na mnie ze wspaniałą mieszaniną gniewu i pogardy, poczem trzasnął ręką w leżące przed nim papiery.

— Proszę mnie tu nie nachodzić! Nie przeszkadzać! Powiedzieć w domu, żeby kto starszy przyszedł z pieniądzmi i z kwitem!

Ukłoniłem się i wyszedłem zawstydzony, z głębokiem wzruszeniem w duszy. I teraz bowiem byłem pewny, żem słyszał szept mojego zegarka.

Odtąd wszakże nie śmiałem wchodzić do biura, tylko stawałem w sieni.

Nic wprawdzie nie mogłem ztamtąd widzieć, ani słyszeć, ale byłem blizko. W tym samym domu, gdzie zegarek.

Pewnego wszakże dnia podszedł do mnie stróż i rzekł:

— Tu nie wolno wystawać pode drzwiami! Jest interes, to wejść, a jak nie, to nie zastąpiać!

Cofnąłem się zmieszany.

Nazajutrz siadłem na kamiennych schodkach, które prowadziły z ulicy do sieni i patrzyłem w okna. Twardo tu było i niewygodnie, ale przecież i tu bliżej zegarka, niż w domu.

Czas szedł i zrobiło się lato; i znów szedł i zrobiła się jesień. Wietrzna była, zimna, słotna.

Zgorączkowany, wymizerowany, drżałem, jak liść, siadując na owych schodkach w starym, wytartym mundurku.

— Bój się Boga, chłopaku, nie siedź na tych mokrych kamieniach w takie zimnisko, bo się choroby nabawisz! — rzekł do mnie jeden z urzędników, wychodząc z biura.

Podniosłem na niego oczy.

— Kiedy tu jest mój zegarek, proszę pana.

Uśmiechnął się, pokiwał głową, westchnął i poszedł dalej.

A mnie tęsknota trawiła tak, jak ciężka choroba.

Uczyłem się jak najgorzej. Nieraz od matki dostawałem po uszach, co prawie że mnie nie bolało wcale, tak byłem pochłonięty jedną żądzą i jednem pragnieniem. Pieniędzy ciągle jeszcze nie było i zegarek wykupiony być nie mógł.

Pod koniec grudnia wpadłem na myśl napisania listu do ojca. Jakoż natychmiast wydarłem ćwiartkę papieru z dyktanda na czysto i, zalewając atrament gorącemi łzami, pisałem:

„Kochany Ojcze! Donoszę kochanemu Ojcu, że jestem bardzo nieszczęśliwy, bo zegarek mój jest zastawiony i wcale go niema.

Kochany, drogi Ojcze, przyjedź prędko, abyś go wykupił, gdyż jestem bardzo nieszczęśliwy i jest bardzo zimno.

Całuję twoje ręce, kochany ojcze, i żebyś prędko wrócił. Wierny syn Stanisław.“

Złożyłem teraz ćwiartkę we czworo, napisałem na czystej stronie: „Do kochanego Ojca“ — i pobiegłszy — mimo późnej pory, na pocztę, wrzuciłem to w skrzynkę.

Nadzieja rychłego ratunku ożywiła mnie znacznie. Z gorączkową niecierpliwością wylatywałem naprzeciw listonosza po kilkakroć na dzień. Odpowiedzi jednak nie było. Czekałem tydzień, dwa, trzy, nic.

Wtedy pobiegłem znowu do tego wielkiego żółtego domu. Miałem zamiar wejść śmiało i powiedzieć urzędnikowi: „Ojciec lada dzień powróci, więc czyby mi pan tymczasem nie był łaskaw oddać zegarka?“

Tam wszakże zastałem ścisk i gwar, który mnie ogłuszył. Nie było dla mnie miejsca ani w sieni, ani pode drzwiami, ani też na schodkach. Szturchano mnie, popychano, łajano, że lezę pod nogi.

Wtedy zapytałem najbliżej stojącego pana: dla czego tu dziś tak dużo ludzi, i czemu tak krzyczą?

Pan spojrzał na mnie z wysoka i nie odpowiedział.

Mnie wszakże ogarnął nagły i niewytłómaczony strach. W jednej chwili postanowiłem bądź co bądź dostać się do wnętrza.

Jakoż, nurkując pomiędzy ściskiem chałatów, surdutów i spódnic, dotarłem do wolniejszego miejsca, tam, gdzie balaski przegradzały salę. Tu podniosłem głowę. Olśnąłem...

Wysoko nade mną, w dwóch palcach na cienkim łańcuszku trzymany, unosił się mój zegarek w powietrzu, jak gdyby własną czarodziejską mocą.

Przeczysty lazur jego wypełniał cały pokój, a złote gwiazdy, jakie tylko w najcudniejszą i najbardziej przejrzystą noc sierpniową widzieć można, jaśniały na ścianach, na suficie, wszędzie.

W tej samej chwili mistyczna pieśń zalała mi duszę, świat cały...

— Zegarek!... Mój zegarek!... — krzyknąłem z wybuchem szalonej, bezprzytomnej szczęśliwości, wyciągając ręce.

Jeszczem go wszakże dosięgnąć nie zdołał, kiedy gruby głos jakiś rzekł:

...I po — trze — cie!

Wtedy stojący przy mnie pan zdjął z powietrza wszystkie gwiazdy i szafiry, a włożywszy mój zegarek w czarne, do trumny podobne pudełko, wpuścił je do głębokiej kieszeni chałata.

...O ziemie obiecane, a nienawiedzone nigdy!

...O srebrne sita serc, czerpiących morze!

ACHILLEJS.

Najnowszy z udramatyzowanych poematów Stanisława Wyspiańskiego okazał się na półkach księgarskich. Treścią wiąże się on z cyklem starogreckich dramatów tegoż autora, a za przedmiot mu służy i tło, homerowska epopeja i jej bohater nad bohatery — Achilles.

Wydana niedawno pierwsza księga „Iliady" z wspaniałymi rysunkami Wyspiańskiego wskazuje jasno na genezę najnowszego dramatu. — Kto z nieśmiertelnego dzieła ślepego poety tyle wysnuł plastycznych cieniów, ten i słowami wyrazić musiał tamtejsze obrazy. A wyraził je tak samo, jak wyrysował. W archaiczne szkielety tchnął nowożytnego ducha, najnowsze pojęcia, dzisiejszą duszę wtłoczył w zastygłe, skończenie piękne formy.

To tak samo, jakby ktoś starą, grecką rzeźbę przetworzyć chciał w dzisiejsze dzieło sztuki, zostawiając jednak pierwotne jej kształty i kontury.

O „Achilleidzie", podobnie jak o każdym utworze Stanisława Wyspiańskiego, powstanie osobna literatura zapewne. Nie przesądzając więc zdania krytyki literackiej o najnowszym utworze wielkiego poety, pragniemy na razie podać krótką treść „Achilleidy".

Rozpoczyna się tak, jak w Iliadzie. Atryda, władca mężów, Agamemnon gniewa się z boskim Achillesem, a równocześnie pod Troją wre walka, zbliżająca się wolno do ostatecznego rezultatu.

W namiocie swoim siedzi gniewny Achilles. Doznana od Agamemnona zniewaga nie pozwala mu wyjść w pole, aż do otrzymania zadośćuczynienia. Siedzi więc i płacze w chwili, gdy przed nim staje pani morza, Tetyda, wraz z chórem wodnic, zwiastując pociechę synowi swojemu i proroctwo, że będzie wyniesion sławą nad męże najwyższe. Achilles nie dowierza, bo jakże wierzyć może w tem swojem teraźniejszem poniżeniu, że sława jego wiekuista. Ale Tetys nie zwodzi go chyba ułudną obietnicą: „nadejdzie godzina, gdy miecz się żagwią stanie w ręku mego syna", a „najpierwszy z mężów Trojej pod ciosem twym lęże".

Najpierwszy z mężów Troi, Hektor. Nieustraszonego on strwoży Achillesa, „gdy najmilszego mu z ludzi trupem położy".

Na to wbiega Automedon z wieścią, że Patrokles nie żyje. Zabit i powleczon przez Hektora. Achilles porywa się do broni z groźbą: „krwią Hektora opluję Ilijońskie mury" — „ziem Trojej zaorzę — zamorduję!!! — Ubiera się w zwykłą zbroję niepozorną, dosiada wozu i rusza do walki na śmierć i życie z Hektorem.

Pod murami, u źródeł Hektor pada. I znowu, tak samo, jak u Homera, stary Pryjam przychodzi do namiotu zwycięzcy po zwłoki ukochanego syna, a przychodzi z płaczem wielkim i narzekaniem, a zaraz potem Pallada na wozie wojennym zabiera Achillesa i wóz wraz z bohaterem roztrąca o stos śmiertelny Patrokla. Niedługo pada i święty gród Ilionu, a na końcu zjawia się w obłokach Afrodyte z twarzą przepięknej Heleny, Menelajowej żony.

F. J.

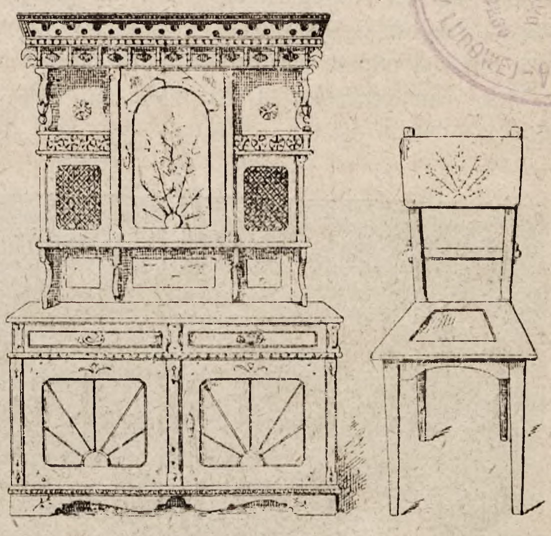
Z warstatów sztuki stosowanej.

II.

Ze wszystkich naszych rzemiosł, najdalej stosunkowo zaszła stolarka w stylowości wedle nowego rozumienia tego wyrazu. Łatwe to do zrozumienia choćby z tego względu, że z jednej strony parł zachód secesją kolportowaną, bądź zapomocą gotowych mebli, bądź teorją i obrazkami w czasopismach, poświęconych sztuce stosowanej do mebli, z drugiej zaś działały u nas szkoły drzewne i wpływ takich jednostek jak Matlakowski, jako zbieracz motywów, Witkiewicz, który obok budownictwa, oddawał się także stosowaniu zakopiańszczyzny do mebli, a wreszcie Brzega, który w swoich projektach mebli zakopiańskich, odznaczonych pierwszą nagrodą, dał całokształt umeblowania w stylu zakopiańskim. Prób sporadycznych w budowie mebli w stylu secesyjnym i rodzimym było już trochę przed kilku laty, ale specjalizacja w tym kierunku jest daty późniejszej. We Lwowie dokładniej zaznaczyła się ona na wystawie techniczno-przemysłowej kiedy to kalwaryjska szkoła stolarska, oraz tacy *homines novi* wśród majstrów stolarskich jak pp. Szafrański, Kopeć i Eisenbart wystąpili ze swoimi meblami w stylu secesyjnym i zakopiańskim. Rzeczy te podobały się powszechnie, jęto się o nie rozpytywać, zamawiać i tak ci trzej lwowscy stolarze stali się zwolna specjalistami w tym kierunku.

Co to znaczy? Czy, że majstrowie ci robią już to tylko wyłącznie? Nie, ani stosunki nasze materjalne, ani wyrobienie smaku publiczności nie jest jeszcze tak znacznem, żeby stolarz u nas mógł się utrzymać z samych robót należących już do dziedziny przemysłu artystycznego. Zresztą i same style nie są jeszcze dostatecznie przystosowane do potrzeb współczesnych. Wykonanie mebli stylowych wypada jeszcze tak drogo, że aby je po cenie możliwej módz dać publiczności trudno na nich zarobić tyle, aby warstat utrzymać; zarabia się bardzo mało, często nic a nawet czasem dokłada. Żyje się więc i utrzymuje warstat z robót pospolitszych, masowych gdzie kosztorys z góry już przynosi zysk pewny, gdyż w takich robotach istnieje jakby rodzaj umówionych form i cen roboty. Na tym dopiero materjalnym gruncie rozwija się, jak kwiat na łodydze rośliny, stolarka artystyczna tj. ta, która i dla rzemieślnika jest życiem wyższem we fachu i dla tych, którzy z niej będą korzystać w życiu codziennem, stanowić ma coś więcej, niż tylko przedmiot wygody.

Wejdźmy do jednej z takich pracowni np. pierwszego z wymienionych p. Szafrańskiego. Wśród masy wiórów i trzasek stoi kilkunastu ludzi. Jedni heblują, drudzy przybijają coś, trzeci nacierają drewniane płaszczyzny. Wszystko to przeważnie pozaczynane części składowe jakichś przedmiotów, których przeznaczenie trudno rozpoznać bez informacji majstra oprowadzającego po pracowni. Tylko tu i ówdzie stoi już coś wykonanego, jakiś stół, przyłóżek, szafa. Robi się przeważnie rzeczy, o których powiedziano powyżej, że stanowią podstawę materjalnego bytu majstra i warstatu. Tu, jeżeli nie trafi się na chwilę wykończania jakiejś stylowej sypialni czy jadalni nie bardzo się można zorjentować w tem, co najprzyjemniej zaprząta samego majstra. Miejscem, gdzie tworzą się dzieła stolarki artystycznej i gdzie one są złożone przed tem nim pójdą w obce ręce, jest jego mieszkanie.



Kredens i zydel.

Pokój, w którym p. Szafrański pracuje założony jest z wyjątkiem łóżka na którem spi, komody i starego fortepianu samymi stylowymi meblami. Jest tam biórko skonstruowane wedle rysunku Brzegi, wielki stół zakopiański, biórko i półka na książki przeznaczone dla Konopnickiej, olbrzymi, niedokończony jeszcze kredens, kilka foteli i krzeseł najrozmaitszego kalibru. Na ścianach porozwieszane są rysunki części składowych mebli, na stole papier rysunkowy, kalki a tu i ówdzie albumy i teki z rycinami wewnątrz i projektami mebli. Przypatrując się temu wszystkiemu i słuchając, co o tem mówi sam gospodarz, widzi się dopiero, jaką to skom-

plikowaną jest pracą tworzenie się stylu w naturalnem tego słowa znaczeniu, jaka masa drobiazgów składa się na przystosowanie wymogów artystycznych do potrzeb, na tworzenie form, któreby, wynikając z potrzeby, mogły zarazem sprawiać i zadowolenie dla oka.

Wystarczy porównać dwa biórka wspomniane powyżej. Biórko wedle projektu Brzegi jest to niewielki stół o skośnie rozstawionych nogach, z jedną szufladą w pośrodku i z półką po jednej stronie. Bardzo proste i charakterystyczne w konstrukcji, oraz w czysto zakopiańskich ozdobach stanowi ono mebel bardzo piękny i wystarczający ostatecznie dla kogoś co tam od czasu do czasu siądzie przy nim, aby jakąś książkę przeglądnąć, albo list napisać. Ale dla osoby piszącej dużo, okładającej się książkami i papierami jest takie biórko za małe.

Przy tem nie jest ono dość „pakowne“ t. zn., że niema w niem gdzie schować wielu rzeczy, które chce się mieć zawsze przy pisaniu pod ręką. To też, gdy u p. Szafrańskiego zamawiano biórko zakopiańskie dla Konopnickiej, która ma już jedno biórko brzegowskie, zażądano i słusznie, aby to nowe bardziej odpowiadało celowi, aby poetka mogła przy niem pracować, a nie miała go tylko na pokaz.



Biurko.

Jak widać z załączonej ryciny, skonstruował więc p. Szafrański biórko, które w formie ogólnej pudła i w jego rozmiarach jest powtórzeniem zwyczajnych biórek używanych po kancelarjach, podczas gdy zakopiański charakter odbił się tylko w szafce wznoszącej się na lewym rogu i w ozdobach. Szafka zawiera miejsce na kilka książek oraz kilka rozmaicie zamykanych schowków. Galeryjka dokoła biórka ozdobiona jest pazdurkami, a oprócz tego widzimy na drzwiach szuflad po obu stronach rzeźby słońc i inne pionowe i poziome podłużne ornamenty czysto zakopiańskie. Wszystko to, utrzymane w dwóch kolorach drzewa białego impregnowanego czerwono, przedstawia się bardzo pięknie i chociaż skombinowane tu są dwie rzeczy, właściwie odległe od siebie pochodzeniem, bo nowożytna forma ogólna mebla i ornamentyka chłopska, odwieczna, zebrana z zupełnie innych przedmiotów.

Mimoto p. Szafrański, jak zwykle artyści, już dziś z tej roboty niecałkiem jest zadowolony. W myśli zespolenia tych dwóch rzeczy postąpił podczas roboty i dużo się nauczył. Opatrzyła mu się np. kombinacja kolorów, więc w następnem biórku, które już ma zamówione, skombinuje dwa naturalne kolory drzewa białego i szarego. Przytem jeszcze szafkę zamierza urządzić inaczej, bo gość zamawiający potrzebuje innych, specjalnie skonstruowanych schowków. Podobnie jest i z kredensem, którego górna część ma osobne schowki wysokie na wino, osobne na inne przedmioty, niższe od flaszek z winem. Względów takich jest mnóstwo a cóż dopiero mówić o różnych dalszych wpływach, jak rodzaj materjału lub z góry narzucona cena.

Przyjdzie np. gość i powiada: „trzeba mi pary łóżek w stylu zakopiańskim, bo mi się ten styl podoba, chciałbym żeby to było drzewo w tym mniej więcej kolorze, ale za wszystko mógłbym dać tylko tyle a tyle“... i wymienia cyfrę koron. P. Szafrański się zastanawia i przychodzi do przekonania, że meble wykonane ściśle wedle wzorów zakopiańskich w drzewie takiem a takiem ,,massiv“ kosztowałyby np. dwa razy tyle. Musi odmówić, ale nie chce, bo czuje, że jest możność pewnego przystosowania się do żądań, i żądań do możności, a szkoda mu i zamówienia i wykonania go. Powiada więc, że mogłoby to być, ale nie całkiem wedle wzorów, tylko z ich modyfikacją i np. nie massiv tylko sosnowe a fornirowane innem drzewem. Targ w targ, gość upewniwszy się, że meble przez to nie będą ani brzydsze ani mniej trwałe, godzi się, a dla p. Szafrańskiego zaczyna się praca twórcza tj. walka z materjałem surowym i z przystosowaniem go pod względem kosztów do ceny.

Siada więc do rysunków i wybiera takie, których robota mniej kosztuje. Przytem baczyć musi przy kombinacji form ogólnych i zdobniczych z jednej strony na to, żeby utrzymane były w charak-

terze, a z drugiej, żeby wykonać się dały przy zastosowaniu forniru tj. owej cienkiej łupki drzewa droższego naklejanego na rdzeniu z drzewa sosnowego. Musi tak np. układać rzeźby głębsze, żeby tylko tam je stosować, gdzie drzewo droższe będzie pełne a tam gdzie fornir dawać płytsze. W ten sposób z tego faktycznego przymusu, stwarza się cała masa pracy, która potem daje typ niejako mebla tańszego, możliwego do nabycia przez ludzi przeciętnie zasobnych, który doskonaląc się staje się jakby stylem umeblowań tych ludzi, wyrazem ich potrzeb, upodobań i materjalnych zasobów.

JAN ŚWIERK.

SALON MÓD. 3)

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Nie wiem, czym spała, czy leżałam tylko, nie wiem czy to minęła godzina, czy dzień cały...

Aż zbudził mię głos Janka małego:

— Jadwisiu!... list do ciebie...

Zerwałam się. Nikt inny do mnie pisać nie może chyba ojczulek, więc chwytam papier, ożywiona i jakby nową siłą zbudzona.

Od kiedy wyjechałam z naszej chatki, wieści nie miałam. Pierwszy raz też w życiu ojczulek do mnie pisał, bośmy się nie rozstawali nigdy na długo. Gdzieby tu znaleźć kącik taki cichy, aby można list ten drogi odczytać spokojnie. Tutaj — w pracowni maszyny bez ustanku huczą i gadają — dziewczątka praktykujące szepcą i rozmawiają. Tam dzieci bawią się, cioteczka rachunek prowadzi z żydówką za brane koronki...

A! prawda jest salon... siądę sobie w kątku i odczytam.

Ucałowałam list najpierw, potem poczęłam przebiegać oczyma.

— Moje dziecko drogie... pisze mi ojczulek dalej, wiem, iż jesteś ogromnie pilna w pracy i zamiłowanie masz do kształcenia się, więc zupełnie spokojnie myślę o twojej przyszłości. Muszę ci tylko zwrócić uwagę na to, iż wszystko co ci da zakład szkolny, to jeszcze będzie za mało na dobre przygotowanie się do nauczycielstwa. Oni kształcą więcej rozumowo, a tu trzeba w sobie wyrabiać serce i ducha silnego. Nauczycielstwo ludowe to kapłaństwo narodowe, a ty jeśli będziesz pierwszą uczenicą w klasie, stać się też musisz pierwszą nauczycielką w okręgu... Po za szkołą musisz się kształcić sama, ja ci na razie posyłam spis dzieł, które musisz przeczytać...

Dalej zaś, ojczulek powiada:

— Widzę cię myślą mą pełną troski i niepokoju... choć pusto u nas bez ciebie i wszystkim nam braknie twej istoty, ja wszakże czuję się szczęśliwy, gdy posyłam oto pierwszą kwotę na opłacenie mieszkania twego u Frani — bo wiem, iż otwieram tobie drogę do wielkiej pracy i wielu jednostkom przez to dobrze uczynię“.

Po tym liście położenie me było jeszcze boleśniejsze... Co począć? Ojciec biedny pełen nadzieji i radości, czeka tylko na wiadomość odemnie, żem zdała dobrze, a nie wie i nie przypuszcza nawet, co się stać mogło... Czy podobna napisać mu prawdę?... Co dalej robić?...

Oparłam się o poręcz krzesła i czułam gorące łzy płynące mi po twarzy...

Kuzynek Jerzy piorunujący artykuł odczytał dziś wieczór w „Zorzy“. Radził mi koniecznie, abym nie wyjeżdżała, bo Rada kraj. zajmie się tą sprawą, może każe utworzyć drugi oddział. Z Kasią i Emcią rozmawiałyśmy długo, siedząc na ławce w ogrodzie, każda z nas ma jedno i to samo na sercu. Wracać nie ma po co do domu — trzeba szukać tutaj chleba i zarobku.

— Ja do krawiecczyzny brać się nie mogę, mówi Emcia, bo wątła jestem, po nocach trzeba pracować.

— Choćbym się zapisała do wyższej jakiej szkoły, powiada Kasia, to nie zyskam wcześniej bytu, a wszak mnie o to przedewszystkiem idzie.

— Co ja zrobię, nie mogę ani w przybliżeniu sobie wyobrazić, odpowiadam im... W domu nędza, ojciec sam, swoją pracą, nie jest w stanie na wszystkich wystarczyć, muszę szukać zarobku, ale nie widzę go i nikogo nie mam, ktoby mi drogę wskazał.

— Bo dla nas, ubogich dziewcząt, nauczycielstwo jedynym jest portem, a właśnie drzwi zamykają i wpuścić nas nie chcą.

— Możeby do handlu gdzie dostać się za kasjerkę? nieśmiało pyta Emcia.

— Nigdybym tego nie chciała, wołam z niecierpliwością, zdaje mi się ta praca zupełnie bez treści, bez ducha, bez pożytku... gdy widzę taką panienkę przy kasie, radabym ją wyciągnąć jak najrychlej, wyprowadzić za miasto, pokazać chaty i wo-

łać coraz głośniej: — Widzisz! tam! tam! serca, dusze, myśli, uczucia... idź!...

— Jakże iść, kiedy nie puszczą, przerwała mi Kasia.

— Jakże iść, kiedy nie chcą naszej pracy, szepnęłam jakby zawstydzona.

Przeszła znów chwila w milczeniu.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Pisma Franciszka Zabłockiego*, zebrał i wydał dr. Bolesław Erzepki. Poznań, 1903, 8-ka, str. 400. Dzięki prywatnej zapobiegliwości, mnożą się u nas nowe krytyczne wydania dawniejszych poetów, tem ważniejsze, że zupełne. Podobnie, jak znaczna część komedji Zabłockiego, pozostaje dotychczas w ukryciu, tak samo też drobne jego wiersze, były bądź rozproszone po czasopismach, bądź też leżały nieznane w rękopisach. Wydawca zebrał je skrzętnie i uszeregował podług gatunków. Mamy tu więc: ody, pasterki, satyry, wiersze różne, pamflety polityczne wierszem i prozą, przekłady i naśladowania, oraz urywki różnych komedji. Wszystkie te utwory zostały zaopatrzone w objaśnienia, mówiące o czasie powstania ich i o powodach, jakie skłoniły autora do ich napisania. Jak zaś nie szczędził dr. Erzepki czasu i trudu, aby to wydanie uczynić możliwie najdoskonalszem, tego dowodem załączony na końcu książki słowniczek wyrazów przestarzałych i językowych właściwości Zabłockiego, oraz skorowidz osób i nazw miejscowości. Oby przykład dr. Erzepkiego znalazł licznych naśladowców!

i.

Maurycy Altenberg, inż.: O wyzyskaniu sił wodnych z opisem trzech zakładów wodno-elektrycznych Hauterive, Vourry, Chèvres. Lwów 1903. Nakładem Towarzystwa Politechnicznego.

Jednym z czynników, które bardzo skutecznie mogą się przyczynić do uprzemysłowienia naszego kraju, jest bezwątpienia projekt wyzyskania sił wodnych w Karpatach. Przedewszystkiem bowiem siła wodna jest najtańszem źródłem ze wszystkich dziś używanych rodzajów siły motorycznej (para, elektryczność, gaz, nafta itp.) i dlatego nadaje się przeważnie dla krajów upośledzonych pod względem bogactwa płodów kopalnych, zwłaszcza węgla. To też dziś kraje te, jak Szwajcarja, Sabaudja, Lombardja, Skandynawja, Tyrol i w. i. rozpoczęły energiczną akcję w celu wyzyskania sił wodnych i stanęły śmiało do konkurencji z krajami dotychczas uprzywilejowanymi pod względem przemysłowym. Dawniej, powszechnie powtarzane zdanie, jakoby Galicja nie mogła w sobie rozwinąć przemysłu, ponieważ nie ma węgla, straciło dziś rację bytu, odkąd nowoczesna technika udoskonaliła w wysokim stopniu, wyzyskiwanie wody dla celów przemysłowych.

Tylko galicyjskie rzeki, jeziora i wodospady — powiada autor — stoją dotąd niewzruszone ręką ludzką, jak gdyby się obawiano psuć harmonję pięknych widoków przyrody przez jazy, kanały, rurociągi, budynki fabryczne, słupy i druty. Toteż pożądanym nabytkiem jest praca, o ktorej mówimy, zawiera bowiem szczegółowe daty co do wyzyskania sił wodnych w innych krajach górskich, mogących nam za wzór służyć i rzuca cenne myśli o wykonaniu tego projektu w Galicji. Niewątpliwie Sejm krajowy i biuro hydrotechniczne Wydziału krajowego zajmą się bliżej sprawą wyzyskania siły wodnej. Od energji zaś ludzi chętnych, od inicjatywy prywatnej przemysłowców zależy, aby idea wyzyskania tych sił stała się czynem. *B.*

PISMA. *Pamiętnik literacki* czasopismo kwartalne wydawane przez Tow. literackie im. A. Mickiewicza. Ostatni zeszyt wydawnictwa tego, które ukończyło drugi rok swego istnienia, zawiera szereg prac bądź to świeżych, bądź też w dalszym ciągu, lub na dokończeniu będących. Do tych ostatnich należy rozprawa dra Bronisława Gubrynowicza p. t. „Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta“, do pierwszych zaś początek studjum p. Wilhelma Bruchnalskiego p. t. „Mickiewicz-Niemcewicz“. Na podstawie krytyki historyczno-literackiej wykazuje p. Bruchnalski wpływ „Dum historycznych“ Niemcewicza na twórczość Adama, zwłaszcza na jego ballady. Mickiewiczem i jego stosunkiem do mijającej epoki klasycyzmu zajmuje się też p. Stanisław Dobrucki, pokazując, że „Oda do młodości“ odpowiada wszystkim wymogom estetycznym Osińskiego, Dmochowskiego, Bentkowskiego, Naruszewicza i innych. Jest tylko ta różnica, że gdy klasycy mieli gotowe szablony, według których śmiałość i zapęd fabrykowano, Mickiewicz wydobywa tę wspaniałość i ten zapęd z własnej duszy. U Mickiewicza mamy wypełnienie przepisów bez trzymania się szablonu.

Bardzo obficie reprezentowany jest dział recenzyjny i sprawozdawczy pamiętnika: Wystąpił tu p. Turowski przeciw książce Tretiaka p. t. „Juljusz Słowacki“, omówione są najnowsze dzieła traktujące o Słowackim i prace omawiające twórczość Wyspiańskiego, a prof. Piotr Chmielowski ocenia dwie najnowsze historje literatury, a mianowicie Feldmana „Piśmiennictwo polskie z ostatnich lat dwudziestu“ i Grabowskiego „Poezja polska, po roku 1863“.

NOTATKI. *Autor hymnu finlandzkiego*, poeta fiński Emil Qvanten, zmarł jak doniosły pisma codzienne w San Remo. Qvanten urodził się w Biernebórgu w r. 1827, piastował urząd bibliotekarza króla szwedzkiego Karola XV. Do pięknej jego pieśni „Suomis sang“ skomponował muzykę Fryderyk Pacius, a pieśń sama smutna i tęskna, stała się hymnem narodowym Finlandji.

Oto jej dwie pierwsze zwrotki w przekładzie:

Wsłuchaj się w szum sosn wysokich,
Wsłuchaj się w szmer rzek głębokich —
To Suomi pieśń!
Ot, gdzie biegnie nad śniegami
Słońce z ciepła promieniami —
To Suomi pieśń!

Podziemia kościoła św. Marka. W podziemiach tej wspaniałej świątyni weneckiej znaleziono w ostatnich dniach bardzo ciekawy sarkofag pochodzący według wszelkiego prawdopodobieństwa z VI stulecia po Chrystusie. Na sarkofagu są ślady ognia, co wskazuje, że został on pewnie zasypany gruzami podczas pierwszego pożaru kościoła za rządów doży Piotra Candiano. Znajduje się też na sarkofagu napis, którego wszakże na razie odczytać nie zdołano.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.